

Teksty Drugie 1995, 5 , s. 1-4



# Polonistyka – przepis na przetrwanie

Jerzy Jarzębski

# teksty

D R U G I E

5  
1995

Dwumiesięcznik  
Instytutu  
Badań  
Literackich  
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

## *Polonistyka – przepis na przetrwanie*

*Za młodu ani przez chwilę nie chciałem być polonistą. Dyscyplina ta zdawała mi się czymś nieuleczalnie szkolnym: jakieś odpytywanie z fabuł powieści („ile garnców sadła wypił stary Maćko z Bogdańca, aby się od grotu wrażego wyleczyć?”), jakieś stopy zeszytów z klasówkami na temat „nieprzemijających wartości literatury renesansu (oświecenia, romantyzmu itd.)”. Brrr... nie! Jakoś jednak na polonistykę trafiłem – trochę z lenistwa (łatwiej się było dostać), trochę z przypadku; cały czas jednak z zamiarem przeskoczenia na inny kierunek – filozofię? reżyserię? – jeśli tylko będzie to możliwe. Gdy jednak pod koniec studiów stanął przede mną w istocie dylemat: filozofia czy polonistyka? – wybrałem tę ostatnią. Dlaczego? Wszedłem już wtedy głębiej w literaturoznawstwo uniwersyteckie i odkryłem z nie-małym zaskoczeniem, jak jest odmienne od nauki szkolnej. Stąd poszło przeświadczenie, że w polonistyce „więcej się dzieje”, jest żywsza, silniej związana z moim codziennym doświadczeniem, że filozofia jest w niej zawarta – a wraz z nią psychologia, historia, językoznawstwo, polityka... – cały wachlarz dziedzin, no, cały świat po prostu.*

*Rozkosze, jakie oferowała tamta akademicka polonistyka mieszkającym komunistycznego państwa były rozmaite. Przede wszystkim była nauką z natury rzeczy bliską narodowej tradycji – i to w jej postaci mniej niż gdzie indziej zafalszowanej: ostatecznie polonista musiał czytać autentyczne teksty literackie z różnych epok, a dostęp do nich miał nieco lepszy niż przeciętni obywatele, których cenzura, kontrole*

*celne i polityka wydawnicza skutecznie pozbawiały szans dotarcia do prawdy o przeszłości. Co więcej, owe teksty, jak mi się dziś wydaje, mniej były podatne na manipulację niż fakty historyczne. Ostatecznie trudno odcedzić z utworów literackich ożywiająca je emocję, trudno wyprać je z wartościujących nastawień, jakie zawdzięczamy żywej obecności autora. Oddziałuje on na czytelnika sugestywnie, niejako całością swej zakłętej w dzieło osobowości, wygrywając mocą talentu i bezpośredniością przekazywanych doświadczeń z tymi, którzy zechcą go zagłuszyć czy zakłamać.*

*Polonista był zatem bardziej niż inni w „centrum polskości”, ale niekoniecznie rozumianej historycznie. Uprawiana dyscyplina łączyła studia nad dziejami ze współczesnością, przerzucała most ponad dystansem czasu i pozwalała asystować przy wytwarzaniu (a także ukrywaniu przed cenzorem) sensów aktualnych. No cóż, zapewne lepiej niż inni władaliśmy „tajemnymi językami”, jakimi twórcy próbowali przekazywać prawdę o rzeczywistości, a zarazem wiedzieliśmy, w jaki sposób te języki nakładają się z jednej strony na mowę tradycji, z drugiej — na język politycznego konformizmu czy intelektualnej mody. W państwie, w którym język pełnił rozmaite rytualne funkcje i poddany był z natury rzeczy z jednej strony restrykcjom, z drugiej — sakralizacji, bycie (szeroko pojmowanym) „specjalistą od języka” zapewniało swoistą przewagę nad tymi wszystkimi, którzy nie do końca pojmowali skomplikowany szyfr swoich czasów. Polonista, krytyk literacki był zarazem blisko literatury, pełnił wcióż jeszcze w społeczeństwie funkcje szczególne: z jednej strony bliskiej ołtarza władzy, z drugiej — nocnych rozmów rodaków.*

*A przecież polonistyka to nie tylko sprawy polityczne czy narodowe. W jej uczonym języku i metodologii odbijały się szczególnie mocno intelektualne przygody drugiej połowy wieku. Wzloty i upadki marksizmu, strukturalizmu, semiotyki, hermeneutyki, dekonstrukcjonizmu, czyli to wszystko, co w sposób najbardziej bezpośredni kształtowało polonistyczny dyskurs, decydowały jednocześnie o historii współczesnej myśli. Rewolucje intelektualne i światopoglądowe ostatnich dziesięcioleci rozgrywały się szczególnie blisko spraw języka, narracji, literatury — tak jakby tam najłatwiej objawiało się wielkie marzenie dwudziestego wieku: znaleźć sposób na ścisłe ujmowanie tego, co wszelkiej rygorystycznej naukowości się wymyka: spraw myślenia, twórczości, piękna czy światopoglądu, całej, jednym słowem, humanistyki. W ten sposób polonista*

znajdował furtkę, przez którą mógł zawsze umknąć szkolarstwu; jeśli tylko chciał, rzecz jasna, i jeśli stać go było na podjęcie trudu przekraczającego przeciętną miarę — bo problemy, przed jakimi stawiała polonistyka swych ambitniejszych adeptów zaiste nie należały do najłatwiejszych. W rezultacie ta dyscyplina — skuteczniej niż wiele innych — wytwarzała wśród swoich adeptów naturalną hierarchię. I nie było takich wysiłków ze strony władz, które mogłyby tę hierarchię (z pomocą wstrzymywania lub udzielania hojną ręką awansów i stanowisk) sfalszować.

Miało to także swoje skutki doraźne na polu walki z cenzurą: polonistyczni koryfeusze lubią dziś wspominać, jak z pomocą odpowiednio ezoterycznego języka byli w stanie wyrazić a nawet opublikować tezy, które nigdy nie przedarłyby się przez polityczną kontrolę bez maskującego kostiumu naukowości. Bodaj ważniejsze było jednak stworzenie środowiska, grupy mistrzów i adeptów umiejących posługiwać się uczonym kodem, a przy tym rozumiejących i akceptujących obowiązujące w tym gronie systemy wartości — etyczne i estetyczne. Jeśli nawet pewne sądy wypowiedziano szyfrem i w atmosferze obłożonej twierdzy, to sam fakt wypowiedzenia ich publicznie miał swoje znaczenie: dodawał otuchy i wzmagał niepodległość ducha.

Była więc polonistyka namiastką rzeczywistości, osobliwą wersją jaskini Platona, na której ścianach odbicie świata miało żywsze kolory niż „oryginał” bytujący na zewnątrz — żywsze, bo wzbogacone o rezonans historii, tradycji, mitu, o wszystkie te konteksty, których nie dostrzegamy często, obcując z szarością potocznych zdarzeń. Wytwarzała też polonistyka krąg wtajemniczonych, miała swoje „salony”, swoich bohaterów i męczenników, postacie sławne anegdotami, środowiskową legendę. Stanowczo, nie było źle być polonistą w minionych dziesięcioleciach.

Tegoroczny warszawski Zjazd Polonistów zwołano chyba po to, by podsumować i zamknąć tamtą bohaterską epokę. Z polonistyką dzieje się bowiem to samo, co z literaturą: wyzbywa się swych szczególnych uprawnień i prerogatyw, ulatuje z niej duch sprzysiężenia i kontestacji. Nie będzie już polonistyka azylem, miejscem, w którym można obcować z rzeczywistością „lepszą niż ta na zewnątrz”. Będzie, i owszem, nasłuchiwać ech przeszłości, ale już nie po to, by zaprzeczyć chwili obecnej, będzie gromadzić wokół siebie ludzi — ale już nie po to, by uczyć ich „języka tajemnicy”. Będzie — o zgrozo! — jedną z wielu dyscyplin

uniwersyteckich i jednym z wielu szkolnych przedmiotów. Więc — witaj, szkoło? Witaj liczenie garnców sadła? Polonistyka ambitna — ta, która otworzyła niedawno bramy swej obleżonej twierdzy — ma dziś przed sobą zadanie karkołomnie trudne, choć znacznie mniej niż wprzódę efektowne: musi wrócić do szkoły niosąc z sobą to wszystko, czego nauczyła się w swych ezoterycznych kręgach minionego półwiecza, ale musi uczynić to, nie sprzeniewierzając się duchowi współczesności, musi, jednym słowem, zrobić użytek ze swej lepszej pamięci i lepszej wiedzy o przeszłości — a jednocześnie ustrzec się przed kombatanctwem, przed zatopieniem w tym, co minione. Winna więc polonistka zrewidować swe kanony, ułożyć je w nowy wzór, ale zarazem nie wolno jej paść na kolana ani przed polityką, ani przed bóstwem popularnych gustów i wyrzec się hierarchii trwalszych niż sezonowa moda. To nie akademickie teoretyzowanie: spory wokół sprawy nowego kanonu wybuchnęły ledwie się zjazd rozpoczął.

Polonistyka, aby odnaleźć się w dzisiejszej szkole, musi się rozumnie zmienić, przeorientować, dostosować do nowych czasów, przeczytać na nowo, inaczej to, co jest od tylu dziesięcioleci przedmiotem jej studiów — literaturę polską. Inaczej skaże się na byt marginesowy i klepanie tych samych formuł w coraz większej izolacji od życia. Resztki tych odwiecznych skamielin odnajduję co chwila w zeszytach moich dzieci. Jeśli więc kanon — to nie tylko skonstruowany na nowych zasadach, ale też na nowo, w inny niż dotąd sposób odczytany, skonfrontowany z innym systemem kryteriów, z inną wrażliwością, z nowymi potrzebami i pytaniami, które dziś przed nami stoją. Dzieła pierwszej kategorii z pewnością taką lekturę zniosą. Muszą (i to może będzie trudniejsze) znieść taką zmianę orientacji również poloniści — nauczyciele młodzieży. Jeśli tego nie zrobią — pozostanie liczyć garnce sadła, co jest zajęciem równie miłym, jak liczenie owiec — i do tych samych skutków prowadzi.

Jerzy Jarzębski